№ 37. Warszawa, dnia 2 (14) Września 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztowa złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

NASZE DZIEJE.

Na podstawie Ernesta Legouvé

ułożone przez

Konstancyą z Bardzińskich Żeromską.

W kwestyi, noszącej już dziś nazwę kobiecej, sądzę że będzie wielce zajmujące poznajomienie się z dziejami tej połowy ludzkości, która tak samo jak mężczyźni wielkie od Boga wzięła posłannictwo. Bo jeżeli mężczyznom dane jest utrzymanie tego co jest, nie pomijając postępu, kobiet obowiązkiem jest czuwać w wychowaniu dziatwy, aby ten dobroczynny postęp, ze zmianą wyobrażeń, nie zamienił się w truciznę. Zgoda więc tak tu jak wszędzie, stanowi dopiero całość ludzkiej na podobieństwo Boga stworzonej istoty.

A teraz w sprzeczności z wyobrażeniami jakie nam przyniosła religia, a z nią cywilizacya przyjrzyjmy się, jak podług wyobrażeń indyjskich z urodzeniem syna dostępować mieli zbawienia dziadkowie i wszyscy najbliżsi tej rodziny krewni, za pomocą ofiar, w których córki nie miały żadnego udziału. Dla nich więc tylko było potępienie zaraz w progu życia.

Nikt zaś o tem nie pomyślał, ile ta biedna córka nad tem później boleć będzie, ile może łez nie raz wyleje nad niepowodzeniem rodziców, nie będąc w stanie innej im przynieść ulgi.

Ztąd prawo indyjskie Manu pozwalało żonę, którą Bóg obdarzał samemi córkami, odepchnąć, po je denastu latach pożycia.

W Sparcie na podrzuconych dziesięciorgu dzieciach wypadało siedm córek.

W Rzymie był zwyczaj że nowo narodzone dziecko kładziono u nóg ojca—który, podług swej woli mógł je podnieść lub zostawić.

Ileż to razy patrycyusz z całą wściekłością dumy, odwrócił się od biednego stworzonka, które leżało przed nim na ziemi kwiląc i płacząc żałośnie. Daremne wzywanie. To córka!

Nieco później pod rządem feudalnym, urodzenie córki ojciec uważał za klęskę, jak to miało miejsce we Francyi; kiedy Ludwikowi XI pokazano jego pierwsze dziecko Joannę de Valois, wtedy król takim uniósł się gniewem, iż nie chciał nawet na nią spojrzeć. Zabronił wszelkich zabaw publicznych w Paryżu, jak się to zwykle dzieje w razie dworskiej żałoby. Dziecko zaś odesłał do zamku Linieres, gdzie przez cztery lata było pozbawione pieszczot matki i ani razu nie widziało ojca. Gniew ten pochodził może ztąd że kobietom nie służyło prawo panowania we Francyi. Ale czyż to było słuszne, czy serca wasze się nie oburzają na podobną zawiść i niesprawiedliwość. Wreszcie wszakże dziś, przekonywa nas Anglia, czy nie jest zadowolnioną ze swej królowej Wiktoryi?

Wszakże nieukontentowanie Ludwika było tak wielkiem, że nawet późniejsze urodzenie syna nie rozbroiło zawiści jego, do swej niewinnej córki. Gdy ją potem pierwszy raz zobaczył rzekł tylko te słowa:

— Nie myślałem żeby była tak brzydką.

Od tego czasu nauczycielka biednej dzieciny, kryła ją w fałdy swej sukni, gdy ojciec przechodził; który raz mimo to uniesiony jakąś ślepą wściekłością rzucił się na nią ze szpadą w ręku i zadał jej na lewej skroni cios, którego szrama nigdy nie zginęła. Byłby ją niechybnie zabił, gdyby de Lihieres jej nauczyciel nie był odwrócił od niej ojcobójczej broni. Słuchajcie dalej.

W Atenach, jak niemal wszędzie, córki były wydziedziczane ze spadku po rodzicach, tak jakżeby one nie miały potrzeb żadnych. Na co trzeba być chyba ptakiem powietrznym, lub różnobarwnym motylem.

Z tem wszystkiem zawziętość prawa była tak wielką, że nawet w braku dzieci płci męzkiej, jeżeli dziedzicząca córka wyszedłszy za mąż miała syna, wówczas on stawał się spadkobiercą dziadka, i na tej zasadzie wydziedziczał matkę z jej mienia, która tym sposobem z właścicielki na jego przechodziła łaskę. Gdzież tu sprawiedliwość, gdzie uczucie ludzkości? Jednem tylko można ich usprawiedliwić że to byli poganie, którzy nie mieli szczepionej zasady miłości bliźniego.

Ale wszakżeż Ludwik XI był już chrześcianinem, a jednak względem swej córki był zbrodniarzem. Tym gorzej dla niego! Jest to jedna plama więcej wśród wielu okrucieństw i tortur, jakich się względem poddanych swoich dopuścił. Plama zaś ta jest hańbą dla ówczesnego społeczeństwa.

W Rzymie prawodawstwo bojąc się wpływu serca córek na ojców, pod pozorem powstrzymania zbytku kobiet, postanowiło prawo Voconia, które nie dozwalało ojcu zapisywać testamentem swego majątku córce, choćby była jedynaczką, tylko pewną część jego.

Tu jako dowód, że też wydziedziczone biedne córki musiały jednakże mieć wielkie swoje przymioty, posłużyć może historya Anniusa Asellusa, który żył za czasów pretorstwa Cajusa Saurdosa. Owego Anniusa, który handlując, przez lat dwudzieścia, dorobił się ogromnego majątku, jedynem marzeniem było zbogacenie swej ukochanej córki: wszelkie jednak jego marzenia rozbijały się o prawo Voconia.

W rozpaczy rodzicielskiego więc serca zdobywa się na nadzwyczajne poświęcenie, które tylko znaleść mogło źródło w najwyższej miłości, dla swego ukochanego dziecka. Środek ten był straszny poz-

bawiał go bowiem stanowiska, dostojeństw, jednakże Annius nie wahał się.

Prawo dzieliło wówczas obywateli rzymskich na sześć klas. Z których pięć opłacało podatek oszacowania (census) i nazywało się censi. W ostatniej zaś mieścili się proletaryusze, ludzie zarówno bez majątku, jako i znaczenia; tworzyli oni środek między człowiekiem niepodległym, a niewolnikiem. Nazywano ich Aerarii.

Należenie do pięciu pierwszych klas, dawało zaszczyt i wyższość, do ostatniej zaś dołączało się piętno hańby! Miejsce w teatrze nawet wystawiało Aerariów na publiczną pogardę a prawo Voconia, jakby naigrawając się z ich ubóstwa, dozwalało ojcom, zostawiać całkowity majątek swym córkom. W tę to zbezczeszczoną klasę zstąpił Aznius i został Aerari'em, nie dla ocalenia swego dziecka, lecz dla tego jedynie, aby mu módz zostawić całe mienie.

Nie byłaż to najpotężniejsza protestacya przeciwko niesprawiedliwości w wydziedziczaniu córek? A jednak był to przecież poganin, który przez poczucie sprawiedliwości jedynie pojął zgrozę swojego czasu; ocenił niesprawiedliwość, wyrządzoną słabszej części rodzaju ludzkiego—kobietom!

Później już odzywa się temi słowy w imie miłości Markulf, jeden barbarzyniec, jak ich wówczas nazywali, pisząc swój testament.

„Do mojej najsłodszej córki!"

„Panuje między nami zwyczaj dawny, lecz bezbożny, wzbraniający siostrom przystępować do udziału z braćmi w dziedzictwie ojcowskiem. Lecz ja pamiętając o tej niesprawiedliwości, kochając was równo, ponieważ Bóg dał mi was jednako za dzieci, chcę abyście po mojej śmierci na równi korzystali z mego majątku. A więc tem pismem, droga córko, ustanawiam cię moją prawną dziedziczką i nadaję ci w całym spadku równą część z twemi braćmi, a synami moimi. Chcę abyś po mojej śmierci podzieliła z niemi i mienie ojcowskie i zabytki i niewolników i sprzęty i abyś w żaden sposób nie otrzymała mniejszej od nich części. „Niech zaś będzie przeklęty ten, ktoby chciał naruszyć mój testament."

Czyż może być coś bardziej rozrzewniającego nad te wyrazy „do mojej najsłodszej córki." Co za uczucie w każdem słowie: niemal widzi się piszącego tego ojca. Ale też i czuć się już daje duch Chrześcianizmu, który zwolna postawił kobietę na stanowisku, jakie dziś zajmować powinna.

Naraz postęp ten objawiony testamentem Markulfa a który był przez wielu naśladowany ojców wstrzymuje się. Cóż zaszło? Ukazał się feudalizm, mający wielkie znaczenie w oczach historyków, jako pierwszy krok ku jedności narodowej, dokonany przez zakładanie siedmiu, lub ośmiu ognisk, to jest państw, mających się zlewać w jedno, którego przedstawicielem był król.

Lecz system ten czyniąc jednocześnie owych panów poddanymi króla a zarazem zwierzchniczo udzielnymi przedstawia drugostronnie proste nagromadzenie spiętrzonych nad sobą służebności, to jest związek niewolników wynagradzających sobie, wzajemną niewolę tyranią niżej stojących, czyli że każdy był tyranem i gniecionym a na samym spodzie jęczał lud deptany przez wszystkich. W tem to więzieniu pomiędzy tysiącem jego pięter, było jedno; ostatnie, straszniejsze od innych; tam wtrącano kobiety a pod tem jeszcze jedno gorsze od innych: tam wtrącano córki.

Łatwo pojąć że ponieważ każdy tu myślał o urządzeniu sobie bądź własności bądź drobnej władzy królewskiej, zatem istoty najsłabsze, wszędzie i zawsze kobiety, musiały stać się pierwszemi ofiarami tej zawziętości.

Feudalizm stworzył nową osobistość w świecie przedstawiciela owej potwornej żądzy syna pierworodnego.

Barbarzyńcy mówili, z wyjątkiem niektórych: nie ma córek w obec synów; feudalizm zaś powiada: nie ma dziecka w obec pierworodnego syna.

Był to tyran całej rodziny. Dla wzbogacenia go, to jest zwiększenia potęgi i blasku rodu, którego on jest przedstawicielem, służy tysiące środków, do wydziedziczenia córek. Dosyć było np. jeżeli biedna córka dopuściła się błędu, graniczącego z cnotą, np. rozrzutności, dla wsparcia jakiej niedoli, aby nagle stracić prawo do swego mienia, tak że nie pozostawało jej, jak tylko zagrzebać się w jakim klasztorze. Któż ją sądził? Jej brat! Kto po niej dziedziczył? Jej sędzia!

Wchodzi wreszcie w zwyczaj że córka wydana za mąż i wyposażona, nie ma prawa przystępować do działu w spadku po ojcu, że posag stanowi całe jej mienie. Dalej woła zwyczaj:

Jeżeli spadkobierca majątku ma siostrę, winien ją wydać za mąż rozsądnie, bez zgorszenia dla swego rodu.

Cóż jednak rozumiano tu przez zgorszenie? Dość było wyjść za mąż wbrew woli testatora.

Nie było wszakże zgorszeniem, jeżeli ów syn najstarszy, zniesławiał się, przez rozmaite gwałty i nadużycia, i choćby nawet spodlił się przez sromotne występki, nie przestawał być synem pierworodnym i pozostawał dziedzicem.

Nie rzadko zdarzało się, że z obawy ażeby nie doznał jakich przeszkód, w objęciu majątku, zmuszano córki do zrzeczenia się w kontrakcie ślubnym przyszłego dziedzictwa. Nakazywano to nawet siłą, mocą bowiem przysięgi.

Tak więc ojcowie i bracia zmuszali młode narzeczone, w wigilią ich ślubu, do zaprzysiężenia, na zbawienie duszy, na pozyskanie raju, że nigdy nie będą się upominać o spadek po ojcu.

Byłoby to potępić zupełnie ród ludzki, gdybyśmy nie przypuszczali tu wyjątków.

Nie jeden może wspaniałomyślny brat, czerpiąc z wielkości swej duszy chrześciańską myśl opiekuna, rozciągnął nad swem rodzeństwem wraz z siostrami ojcowską rękę, która nieraz może dawała więcej aniżeli brała.

Cześć ich pamięci. Oszczędzili oni swym siostrom łzy niejednej, dając drugostronnie przykład z siebie nieoświecenia aż dotąd społeczeństwa. Przykład który po dziś dzień niestety! nie zawsze znajduje naśladownictwo, jeżeliby jakiejkolwiek wymagało ofiary.

Wszakżeż wyjątki nie stanowią ogółu. Główna zasada dążyła do tego, aby zepsuć słabe kobiety; uzbrajając przeciwko nim zepsutych, bezdusznych mężczyzn.

Bo czyż taki ucisk kobiet, nie popchnął nie jednej do zbrodni. Wszak zwyczaj palenia żon żyjących, na jednym stosie, wraz z umarłymi mężami trwający do dziś dnia w Indyach, przypisują temu tylko jedynie, iż owe żony za ucisk mężowskiej samowoli, często w zemście truły swych tyranów środkami bardzo tajemniczemi i w które Indye tak obfitują.

Cóż je miało zresztą od tego powstrzymać? Pogwałcenie zaś wszelkich praw Boskich i ludzkich, którym jest właśnie uciemiężenie—może tylko prowadzić do zbrodni.

Dziś zwyczaj, który wywołała kara, przy wrodzonej egzaltacyi kobietom, stał się u nich zasadą moralności i religii. Anglicy starają się znieść go, wszakże spotykają czasami nieprzełamane trudności: Bronią się zakazowi poważne wiekiem niewiasty, oraz te żony które dobrych dla siebie miały mężów, których kochały tak, że przekładają śmierć nad rozłączenie. Ich wiara pozwala poświęcać się dla siebie samych. Nie widzą w tem samobójstwa, jak nie rozumieją zasługi cierpienia, dla tego, że się Bogu podobało dotknąć nas tym lub owym ciosem.

Tak pewna sędziwa matrona, której nie dozwolono spalić się wraz z mężem, postanowiła głodową zginąć śmiercią; czem rozbroiła gubernatora, który jej w końcu pozwolił to uczynić wyjątkowo.

Pożegnawszy się zatem ze swemi dziećmi, wnukami i prawnukami, z uszczęśliwioną twarzą, z pośród płomieni ukazując palące się już ręce, zapewniała z uśmiechem że ją to nie boli. Któż nie przyzna, że jako męczennica przesądu, ta kobieta okazała nadzwyczaj wiele odwagi i stałości woli.

Nie zawstydziłby jej pewnie w tem żaden mężczyzna, choć przymioty te mają być jego uosobioną cechą.

Ale wróćmy jeszcze do czasów feudalnych, na dowód tego, że byli tak wyrodni bracia, którzy dla zbogacenia się, nie tylko targali się na majątek swych siostr, lecz także sprzedawali za pieniądze, honor tych, które nosiły ich nazwiska.

(d. c. n.)

Z HEJNEGO.

Pada gwiazdka z niebios szczytu
Tocząc kręgi po przestrzeni,
Bo już długo wśród błękitu
Lśniła blaskiem swych promieni.

Pada — spada liść z jabłoni,
Wiatr jesienny szumi w lesie,
Żółte liście z drzewa goni
I na puste pola niesie.

Po jeziorze łabędź płynie,
Śpiewa — wtórzą jemu fale;
Pieśń zacicha, bo on zginie,
Gdy wyśpiewa swoje żale.

Wkoło pomrok i tęsknota,
Obnażone stoją drzewa;
Gaśnie — zgasła gwiazdka złota,
Łabędź ścichnął — już nie śpiewa.

Autor pamiątek z Litwy.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXXI.

Pierwszy odezwał się Łepak.

— Wywód ten któregośmy tylko co wysłuchali, choć bardzo obszerny ale tak jakoś niejasny, że celu jego zupełnie nie mogę pojąć.

— Wypowiedziałem go, odezwał się Haim, żeby wam dowieść, że myśli wasze jakiemi się chlubicie, nie przez was wytworzone zostały, że wszystkie środki obmyślone przez was do dźwignienia społeczności są niczem więcej tylko wynikiem pracy minionych pokoleń z cierpieniem i zawodem bratanych. Życie każdej społeczności rozwija się nieprzerwanem pasmem snującem się przez wszystkie lata i wieki jej żywota. W tym łańcuchu bez końca każde pokolenie dokuwa jedno ogniwo, następnie ogładza je, wzmacnia, tworzy nowe i tym sposobem powstaje solidarny związek przeszłości z obecnością, którego chęć zerwania jest buntem przeciw porządkowi natury a usiłowania do tego szaleństwem.

W małem naszem kółku zebranej młodzieży znalazły się trzy przykłady dowodzące i wielkiego rozumu i [niemniej wielkiego poświęcenia. Z podobnemi różnej barwy, ale zawsze wielkiego znaczenia, spotkać się można we wszystkich zakątkach rodzinnego gniazda. Czyny te, przed waszem, jak powiadacie ostrzeżeniem spełnione zostały, jakże więc można tych co je przygotowali lekceważyć? Jakże można powiedzieć, że to trupy całunem śmierci okryte, z któremi zrywając rozpoczniemy nowe życie? Czyż ten bunt nie jest samobójczym zamachem na własne życie, wytrąceniem z pod własnych nóg podstawy, dźwigającej ludzkość ku postępowi?

— Albo ku zagubie, przerwał Głowacz; my innej w spadku nie otrzymaliśmy, dla tego odtrącamy ją i tych co nam ją przygotowali.

— Bluźniercy! mimowoli zawołał Bolesław i umilkł jakby zawstydzony że nie umiał zapanować nad swojem oburzeniem.

— Słowo to nieparlamentarne przebaczamy ci, odezwał się Głowacz, jako fanatykowi już nieuleczonemu; żeby zaś te rozprawy wlokące się bez końca, nudne jak lukrecya a ckliwe jak karmelek raz skończyć, wzywamy cię do wyrażenia swego zdania co do zamierzonego pisma...

— Od wszelkiego w niem współudziału wyłączam się stanowczo, przerwał Bolesław usuwając się na bok, bo myśl mu przewodnicząca zarówno jest szalona jak samolubna.

Szmer niezadowolenia poruszył wszystkie usta, zaczęto wyrzucać brak dobrej woli, zarozumienie, zatwardziałość w przesądzie, wreszcie brak ofiarności, choć się jej tak wielkim zwolennikiem ogłasza.

— Otóż to są męty, mówiono pomiędzy sobą, spływające na nas ze zgnilizny przeszłości. Słów wiele, roztkliwiań, uniesień, mazgajstwa mnóstwo, ale nic co zdrowiem trąci, co nie bujając w sferze marzeń ma byt rzeczywisty, pozytywny. My choć tak nazwani szaleńcy, samolubi, a jednak robimy wszystko co w naszej mocy, aby myśl co nas ożywia, uznaną za zbawczą wcielić w społeczność i natchnąć ją nowem życiem. Wiemy że nas czeka ciężka walka, nie lękamy się jej jednak; ufamy w potęgę prawdy głoszonej przez nas, którą upór, zaślepienie a najgłówniej zarozumiałość starannie usuwa. Precz z niemi! Precz z przedstawicielami starych przesądów, niedowarzonych majaczeń, lubujących się w zgniliznie szychową okrytej koroną. Z podobnymi nie chcemy mieć najmniejszego stosunku, niech łzy wylewają na wzór Jeremiasza, a jak oślepną niech przyjdą do nas, a damy światła, którego im teraz brakuje.

Bolesław przez czas tych szmerów i szeptów siedział w milczeniu. Oddech jego był ciężki, urywany, czasami poruszał się niespokojnie a ręką bezustannie przerzucał włosy na głowie: siedzący przy nim towarzysze coś mu podszeptywali. Bolesław odpychał ich delikatnie i potrząsaniem głowy dawał do zrozumienia że ich rady czy refleksye męczyły go. Łepak z Głowaczem najgłośniej dowodzili, Stanisław zacierał ręce i podsunąwszy się ku Janowi który wyglądał jakby z krzyża zdjęty, rzekł:

— Teraz zacznie się najciekawsza scena, bo Łepak z Głowaczem póty kąsać będą, aż Bolek rzuci się na nich jak jastrząb. Uważaj Jasiu a ja pójdę, podszczuję Głowacza, niech szczeka z psiarnią swoją.....

Kiedy Głowacz zrobił wzmiankę o Jeremiaszu i o obietnicy dania światła po oślepieniu, Stanisław pierwszy zaklaskał wołając: brawo! a za nim większość zgromadzenia wystąpiła z równemi okrzykami. Bolesław drgnął, powstał gwałtownie z siedzenia i wysuwając się na środek pokoju dał znak że chce przemówić.

— Huzia go! szepnął Stanisław trącając w bok Jana, brytan zerwał się z łańcucha!

Uciszono się, młodzież skupiona wlepiła spojrzenie w Bolesława. Łepak z Głowaczem podnieśli głowy, Stanisław uśmiechnął się także jak widz na teatralnem przedstawieniu spodziewający się sceny komicznej, z której się dowoli naśmieje: Jan natężył uwagę ale z niespokojnością pocierał czoło, więcej za jęty walką własnych pojęć jak tem co się w około niego działo.

— Powiadacie, odezwał się Bolesław po chwili milczenia, że jako przedstawicielowi starych przesądów i niedowarzonych majaczeń, brak mi chęci do prawdziwego poświęcenia. Zarzut to niezmiernie ciężki ale równie dziwny, że od was wychodzi przeciwników wszelkiej idealności......

— Bo stoimy na realnym gruncie, przerwał Głowacz, i poświęcenie nasze tej samej jest natury; godzi własny interes z interesem ogółu i nie szuka go w labiryncie mrzonek unoszących się jak niedojrzane pyłki po nad naszemi głowami.

— Tak, tak, potwierdzono zgodnie, realność która ma światu zapanować, odtrącając wszelkie odrywanie się od ziemi i jej wymagań; nazywa je szaleństwem i każe najprzód myśleć o zaspokojeniu głodu a później dopiero o zabawkach wszelkiego rodzaju, o bujaniu myśli w przestrzeniach dla niej niedostępnych.

— Niech tak będzie jak mówicie, mówił dalej Bolesław, mimo tego, czuję się w obowiązku zapewnić was, że dla szczęścia ogółu oddałbym z siebie ostatnią kroplę krwi, gdy wy jednej nawet....

Gwar powstały nagle rozmowy przygłuszył dalsze słowa Bolesława.

— Bzdurzy i majaczy jak w gorączce, mówiono ogólnie. Tu trzeba głównie pieniędzy aby na ogół oddziaływać zbawiennie przez organ mający się założyć, a on plecie o krwi i jej wylaniu dla szczęścia ogółu. My na ognisku mającem stać się słońcem prawdy którego promieniami pragniemy rozjaśnić głowę każdej jednostki społecznej, składamy w ofierze naszą pracę, oszczędności, drogie pamiątki, a on same deklamacye nie mające za grosz sensu, niegdyś porywające głupców, dziś wyśmiane jak na to zasługują. Czasy legendowych łabędzi pojących dzieci własną krwią już minęły bezpowrotnie. Dobre one były gdy chleba było wyżej czubka głowy, dziś mamy go ledwo po kostki i dobrze się trzeba nachylić, strudzić, namozolić, zanim kęs z niego do ust się doniesie.

— Jednak go nikomu nie brakuje, odezwał się Ambroży, byle chęć była szczera a nie pragnienie dorobku w jednej chwili i używania go jak najspieszniejszego....

— Otóż drugi deklamator, przerwał z oburzeniem. Dajcież raz pokój sennym dowodzeniom i pokażcie czyny własne aby zasługiwały na nazwę realnego poświęcenia. Wszelkie deklamacye to puste słowa! Niegdyś robiono niemi wiele hałasu, który jak przebrzmiał, cóż nam zostawił w spuściźnie?.....

Haim zażądał głosu.

— Zażądaliście panowie, rzekł, przytoczenia czynów własnych zasługujących na nazwę realnego poświęcenia. Żałuję mocno że ich sam z siebie wysnuć nie mogę, ale znam jednego syna już nie zamożnej ale bardzo bogatej rodziny, sławnej znakomitym rodem, którego członkowie przez długi szereg lat zapisywali dzieje przeszłości własnemi czynami. Jest to rodzina w całem znaczeniu tego wyrazu dumna i arystokratyczna, usunięta od publicznych spraw w których niegdyś przodowała, skupiła całą myśl swoją przy pamiątkach nadsłuchając pilnie czy w nich nie podnosi się życie przerwane nienaturalnie. Na tych podsłuchach niegdyś drogo opłacanych, przechodziły długie lata, po dziadach następowali synowie, potem wnukowie, czas biegł, pojęcia się zmieniały, potrzeby wzmagały; wreszcie ciągnąc ciągle ku staremu swiatu, nagle oderwali się od nowego, z ręką bezwładną, z głową zużyłą, z pojęciami przestarzałemi. Otóż syn, o którym mówię, syn owej rodziny zapragnął nie tylko ją ale wszystkie podobne jej, zwrócić na drogę realnych obowiązków, przyciągnąć do świata nowego, połączyć z nim węzłem braterstwa, ocucić ubezwładnioną działalność i wskazać drogi nowej pracy, bogactwo całego kraju mającej na celu. Przyznacie panowie, że to myśl godna uznania.....

— Nie ma wątpliwości, potwierdzono. Ten któryby to spełnił, byłby drugim Kopernikiem, bo nadałby ruch temu co już żyć przestało, i babrze się w nagannym zbytku i próżniactwie będącem zbrodnią społeczną.

— Młodzieniec ów tak samo rzecz tę pojmował... chciał się rzucić do przemysłu, nie pozwolono mu; trwającego w swojem postanowieniu nazwano szaleńcem, leczono jako chorego wirem uciech świata, później zagrożono wydziedziczeniem, a gdy i to nie pomogło, odstąpiono go zupełnie i pozostawiono własnym siłom, mając nadzieję że walką znużony ulegnie i wróci do przytomności.....

— No i cóż? zapytano z ciekawością, uległ?

— Nie, panowie, nie uległ, choć opór tu był bardzo trudny. Znacie co to jest pycha arystokracyi i siła przesądu. Wiecie dobrze że ta pycha i ten przesąd, wyrobione przed wiekami wpiły się w warstwy uprzywilejowane, wessały się w ich krew, przejęły cały organizm stając się drugą jego naturą i zmieniły w zasady podniesione do powagi prawd, którym nikt zaprzeczać nie śmiał. Postęp wyobrażeń, ocenienie w masach uśpionej godności, z prawd tych pogańskich usunęły okrywające je zasłony, warstwy poniżone przyklasnęły, ale uprzywilejowani nie wszyscy przyłączyli się do tego tryumfu człowieczeństwa, natura w nich przemogła. Syn ów jest synem jednej z tak uporczywych rodzin. Wychowany w jej zasadach, przesiąknięty wszystkiemi jej wyobrażeniami, jak tylko rozważną myślą spojrzał po świecie, jak tylko uczuł boleść będącą bolem wszystkich i zaczął szukać środków na jego uśmierzenie, wyrwał z piersi wbite w nie żelazo przesądu i chwycił się pracy chlebodajnej.

W czynie tak wielkiego poświęcenia, jedyną pobudką była miłość ogólnego dobra, a musiała ona być wielką, skoro do równie wielkiego heroizmu pociągnęła. Wyrzekać się używania bogatego mienia, zrywać z całą rodziną i ze światem do którego się należało, poświęcić się ciężkiej pracy dla zdobycia przez nią stanowiska i otrząsnąć z nawyknień wszczepionych od samego urodzenia, to bohaterstwo

poświęcenia, z którego znaczeniem nic się nie da porównać......

— Któż to taki, jak się nazywa? zapytano w około. Toć to zaszczyt i chluba młodego pokolenia.

— Nie wolno mi wymówić jego nazwiska, poznacie je później. Dziś jest to tajemnica.

Zgromadzona młodzież zaczęła robić domysły; Stanisław szepnął do Jana:

— Prawie założyłbym się że tym waryatem jest Bolesław.

Rzucone przypuszczenie obiegło wszystkie usta, spojrzenia skierowały się ku miejscu które zajmował Bolesław, ale go już nie było: wyszedł jednocześnie z rozpoczęciem mowy przez Haima. Wkrótce potem goście rozeszli się.

— No, cóż nasza młodzież? zapytał Stanisław zwracając się do Jana. Dzielna i energiczna, jakże ci się spodobała?

— No... naturalnie, odrzekł Jan nie mogąc się zdobyć na stanowczą odpowiedź i bąkał dalej: kwestye podnoszone... pozytywne rozumowania.....

— Tak, tak, przerwał Stanisław, szermierka szła dziarsko, nie tak jednak jak pragnąłem i spodziewałem się. Jeden Głowacz tylko co nie zawiódł mego oczekiwania, rzucał się, pienił, bluzgał jak szatan w święconej wodzie; Łepak troszkę iskrzył się złością, syczał jak gadzina, ale umie on lepiej i jak się rozhula, to jak koń wyścigowy, nie zważa na żadne przeszkody i przesadza nawet przez Głowacza waląc go po łbie kopytem. Ty tylko Mieciu strasznie byłeś jakiś umiarkowany, a przecież nazwaliśmy cię uczonym.

— Bo byłem i jestem głodny, odrzekł Mieczysław spoglądając po pustych talerzykach z traktamentu, dość skąpo przez Stanisława przygotowanego.

— Ha, ha, ha! rozśmiał się Stanisław. Pozytywizm mój Żyrafko bezkorzystnym zbytkiem gardzi i zaleca wszędzie oszczędność a nawet skąpstwo, gdzie to szkody żadnej nie przynosi. Tu właśnie ten wypadek miał miejsce. Zaproszeni zgromadzili się nie dla uczty, tylko dla rozprawy i narady: ułatwiliśmy im to, wyżerka zatem stanowiła naddatek nadzwyczajny, który mógł być arcy umiarkowany.

— Mieczysław podniósł ramion ale nic nie odrzekł, bo wspomniał na przyjęcie wieczorne u swej narzeczonej, z których nigdy głodnym nie wychodził. Wieczór zatem poświęcony pozytywizmowi wypadł dla niego wcale niepozytywnie.

— Cóż Żyrafko? zapytał Stanisław. Czyż nie mam słuszności?

— Daj pokój, odezwał się Maciuś, nasz uczony nie nabity ani szynką ani rybkami wygląda jak działo bez naboju.

— Wiesz co Maciusiu, śmiejąc się wrzasnął Stanisław, że stajesz się coraz mędrszym nadspodziewanie. Za lat jakie pięćdziesiąt to cię ludzie nie poznają tak wymądrzejesz. Wyrażenie twoje, podobne do wygryzków z arbuza albo łupin z pomarańczy, nie da się z niczem porównać.

— Jakie ono jest to mniejsza, że ale rozumniejsze jak wszystkie wasze rozprawy...

— Pączku, dudki w miech! Co znaczy: patrz swego nosa a nie wtykaj go do cudzego trzosa. Rozumowaliśmy rozumnie, parlamentarnie, nie było ani kułakowania, ani policzkowania, nawet na nogę jeden drugiemu nie nastąpił. Pragnąłem wprawdzie aby Bolesław ostrogą swojej koguciej odwagi... ale, ale, to opowiadanie Haima o synu arystokratycznej rodziny daje wiele do myślenia. Zdaje mi się koniecznie, że owym waryatem waśniącym się na zabój z bogatą rodziną, aby chwycić się ciężkiej pracy, jest nie kto inny jak Bolesław. Jak wam się zdaje?

— Mnie się zdawało, odezwał się Maciuś, kiedym was słuchał rozprawiających, że na prawdę jestem w szpitalu ś. Jana Bożego.

— Kocham cię Maciusiu, wrzasnął Stanisław, gdybyś mógł się wedrzeć na wyżyny nowych pojęć... ale dosyć tego na dziś. Życzę wam wszystkim dobrej nocy, Żyrafce błogiego snu o polędwicy z truflami, tobie Maciusiu o Marysi i złotej sali, Jasiowi o przyszłym tytule mecenasa literatury, a sobie...

— A sobie o beczce złota! domówił Maciuś.

— Z gębyś mi wyjął, jak powiada Bakon czy tam któryś z wierszokletów.

Śpijcie jak Tepery i marzcie choćby o niebieskich migdałach.

W kilka minut później, cisza zaległa mieszkanie, przed chwilą tak gwarne i pełne życia. Stanisław z Maciusiem najpierwsi usnęli, Mieczysław dłużej się mordował walcząc z potrzebą snu i troszkę dokuczającym głodem: usnął jednak, Jan tylko leżał z przymkniętemi oczami, myślał i rozważał o wszystkiem co zdobył w czasie swego pobytu w Warszawie.

Przybywszy do niej w pewnem zaparciu utrwalonych przekonań, wierząc że uczciwem postępowaniem zaskarbi sobię łaskę w wieczności i duchem swym wzniesie się w tajemnicze krainy wolne od trosk i dolegliwości ziemskich: przyuczony do czci dla swoich dziadów i pradziadów, do kochania wszystkiego co z rodzinnego wyrosło gniazda, co z sercem jego zgodne, podnosi go, zachwyca i wywołuje gotowość ofiary i poświęcenia, był pewny, że nabierze wiadomości jakich mu nie dostawało, że się stanie rozumniejszym, śmielszym, pewniejszym siebie i pozbędzie zbytniej prostoty nieraz go na śmieszność narażającej. Omylił się.

To, czego był pewnym, jak wschodu słońca po nocy choćby najciemniejszej, zesromocono; co szanował splugawiono, co kochał wyszydzono. Usunięto podstawę bytu, zdruzgotano nadzieję przyszłości, myśl zaprzągnięta w hołoblę samolubstwa, wszystkie jej porywy ze szlachetnych idące pobudek nazwano mrzonkami, ślamazarstwem, majaczeniem niedołężnem, a za cel jedyny wszystkich dążności, przedstawiono pracę ekonomiczną, jakby zapomnianą i pogardzoną, jakby ta w oderwaniu od wszystkiego mogła się pomyślnie rozwijać.

— Praca, myślał sobie, wiem że ubogaca, ale na co mi więcej kiedy to co mam i co mieć będę, aż nadto mi na potrzeby wystarcza. Uciechy świata nie nęcą mnie tak, abym im oddany zapomniał o wszystkiem, co mi cięży jakby kamieniem i wywołuje drżenie dziwnej obawy. Czemże więc jest to życie? Pojmuję, że nerwy, ścięgna, prądy elektryczne, mózg, są działaczami mojej woli, ale zrozumieć nie mogę jakim sposobem ta wola wyrabia się i działa w naszem ciele? Wszystko więc i duch i ciało i materya i wieczność są przypuszczeniem, niemal kłamstwem... Straszna rzecz jak nędznem jest życie ludzkie!

W tem miejscu zadumy, w myśli Jana stanęła postać młodej dziewicy, urocza, zachwycająca, którą ujrzawszy przypadkiem w wędrówkach po ulicach Warszawy, zajął się tak dalece, że wyśledził gdzie mieszka, czem się zajmuje, gdzie ją najpewniej spotkać można. Wycieczki za nią w tajemnicy trzymane, zwróciły już uwagę Stanisława: przypisał je innemu powodowi, więcej realnemu, nie przypuszczając nawet aby tak platonicznej były natury i kończyły się na spojrzeniu w oczy ładnej panience, i ściganiu jej oczami gdy szła na miasto lub wracała do domu. Jan jednak i z tego był zupełnie zadowolony: kiedy myślał o niej, świat mu się mniej ponurym przedstawiał, uśmiechał się jakoś radośniej, czuł że pragnie, że spodziewa się, że dąży do czegoś, czego we wszystkich rozprawach i artykułach pozytywistów warszawskich nie mógł znaleść. Wahał się jednak w powzięciu postanowienia bliższego poznania owej uroczej dzieweczki. Nowe teorye głoszące miłość za popęd czysto zmysłowy, a ulegających mu aż do zakochania, za głupców a nawet prostych waryatów, wstrzymywały go od stanowczego kroku. Bał się drwinek Stanisława, szyderstwa Mieczysława, Maciusia nawet nie był pewny, bo zakochanie podobne troszkę o cuda c two potrącało: bał się wreszcie całej młodzieży, która wierna pozytywizmowi, podobne dziwactwo mogła wyśmiać i patrzeć na niego jak na raroga.

Tajemnicy zatem był wierny: przygotowanie programu do nowego pisma zajęło mu wiele czasu, przytrzymało w domu tak że przez kilka dni przed samem zebraniem się młodzieży, pięknej swej i nieznanej zupełnie nie widział. Teraz nasunęła mu się w całym blasku niewieściego uroku: wpatrywał się jej w oczy, odczuwał bicie jej serduszka, czytał w myślach ukochanej, i czując dziwne zadowolenie, niewysłowione uczucie radości, nawet szczęścia, postanowił zapoznać się z nią, bywaniem w domu jej rodziców czy opiekunów, bez względu na ich stanowisko zdobyć serce panienki i..... ożenić się, choćby tysiące takich jak Stanisław nazwało go szalonym.

— Stryj, jestem pewny że się nie sprzeciwi, myślał sobie. Jej wdzięk, niewinność i młodość spodobają się mu, a jak tylko porozumię się z panienką, zaraz do niego napiszę.

(d. c. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Wracając ku portowi, spotkaliśmy ludzi kolosalnego wzrostu, z wielkiemi na ramiona spadającemi włosami, z twarzą poczernioną węglem. Na głowach mieli kapelusze z dużemi na oczy spadającemi rondami; mieli na sobie obcisłe wełniane, białe niegdyś pantaliony, a w miejsce obówia same tylko podeszwy rzemykami przytwierdzone do nogi: ten rodzaj dzikich znany tu jest pod nazwą Zichis. Pochodzą oni z gór Istryjskich i bandami jak Cyganie przybywają tu raz w tydzień z żonami i dziećmi, sprzedawać węgle które wypalają w swoich lasach.

Lasy strefy górzystej otaczającej Triest były niegdyś tak gęste' iż jak niesie podanie, można było przejść po „wierzchołkach drzew" z Duino do Bisovizza. W resztkach pozostałych po tych dębowych lasach spalonych przez pastuchów i zniszczonych przez trzody, których silne korzenie czepiają się rozpadlin skał, żyją Zichis'owie tak jak żyły pierwotne ludy. Kobiety noszą wełniane pończochy, grube koszule i rodzaj sukmany z brunatnego sukna, przewiązanej pasem.

Jak utrzymuje Mommsen, który badał i studyował ich w ich rodzinnych górach, Zichis'owie są ostatnimi potomkami jakiejś kolonii rzymskiej; mowa ich jest mieszaniną łaciny i skażonego włoskiego języka.

Z kolei zwiedziliśmy Tergesteo. Jest to wspaniały gmach ozdobiony emblematycznemi grupami Handlu. Przemysłu i Żeglugi. W Tergesteo, mieszczą się bióra trzech oddziałów Lloyd'a austryackiego: oddział ubezpieczeń, żeglugi parowej oraz oddział artystyczny i literacki obejmujący typografię, mapografię i fotografię. Drukarnia Lloyd'a wydaje dwa czy trzy dzienniki codzienne i jeden tygodniowy grecki HMEPA. *Dzień*. Dół, jest to obszerna oszklona galerya w formie krzyża, w której zbierają się zwykle handlujący i przemysłowcy, staczający tam utarczki bawełniane i cukrowe. Tu znajdują się także sale do czytania, w których znalazłem ze dwadzieścia dzienników francuzkich, a tuż obok elegancka kawiarnia pełna Fanariotów w zielonych kurtkach i szerokich białych pantalionach, Armeńczyków w czapkach z astrachanu, Albańczyków uzbrojonych w sztylety, Turków z wielkiemi turbanami i szerokiemi pasami — a zbiorowisko to bardzo ciekawy przedstawia widok.

Poszliśmy potem wypalić w porcie Triestu cygaretkę z wonnych liści tak zwanego tytoniu Lewanckiego; w porcie tym nie widać owej gorączkowej działalności portów Marsylii i Hamburga.

W porcie stało pięć czy sześć okrętów ze zwiniętemi żaglami; majtkowie leżąc na ziemi grali w karty, a o dwa kroki dalej, Turek z głupowatem wejrzeniem i w podartem odzieniu, liczył na różańcu kosze fig które wyładowywała osada jego okrętu i pakowała w beczki przeznaczone do Wiednia.

Inaczej zupełnie niż znalazłem wystawiałem sobie Triest. Sądziłem że w dzielnicach portowych ulice będą bardzo ożywione, na nich pełno uwagę zwracających szyldów, starych zakopconych piwnic i oberży gwarnych i wrzaskliwych, w których rozlegają się głośne śpiewki lądowe i morskie; spodziewałem się hucznych balów i ordynarnych teatrów, odoru dzinu pomieszanego z gorzałką, rosłych i wygadanych dziewek siedzących na kolanach pijaków, jak to przedstawiają obrazy Teniers'a. Nie znalazłem nic podobnego.

Przypadkiem napotkaliśmy kanał nader malowniczo wkradający się do miasta; z obu jego stron stały szeregiem okręta, których maszty i liny odbijały fantastycznie od błękitu nieba; po nad kanałem zarzucony ładny żelazny czerwony most, otwierający się jakby drzwi podwójne; a w głębi w świetlanej perspektywie wznosi się kościół Ś. Antoniego, ze swoją kopułą zakończoną dwoma krzyżami, frontonem z pięknemi posągami i portykiem z kolumnadą porządku doryckiego. Prześliczny to widok; istny morski krajobraz Wouters'a.

Właśnie gdy zachwycaliśmy się tym widokiem, rozległ się huk armatniego strzału i echo jego rozległo się aż w wąwozach Kartz'u. Jednocześnie robotnicy pracujący w pobliżu w pośród roboty rzucili razem łopaty i rydle.

— Co znaczy ten wystrzał? zapytałem przechodzącego majtka.

— To z morskiej latarni, odpowiedział.

— Z morskiej latarni? powtórzyłem z niejakiem przerażeniem.

— O! bądź pan spokojny, nie znaczy to że okręt jakiś jest w niebezpieczeństwie; wystrzał ten codziennie zwiastuje południe, godzinę obiadową i siesty.

Idąc za wskazówkami Baedecker'a, udaliśmy się na obiad do *Osteria Adriatico*. Jest to dość nizka sala stanowiąca zarazem kuchnię, piwnicę, spiżarnię i salę jadalną. Przy drzwiach stoi bufet zastawiony zimnemi mięsami, kotletami i surowym befsztykiem, rybami, rakami morskiemi, sałatą i różnemi jarzynami, a w pośrodku podstawy deserowe pełne pomarańcz, fig i rodzenków.

Kazaliśmy podać sobie *scampi*, wyborne raki naśladujące morskie, które się poławiają około wysp Balearskich, *bronzini*, te makrele Adryatyku, kotlety i różową sałatę. Podczas gdy nam przysposabiano to śniadanie, pokosztowaliśmy wybornych czarnych oliwek, i wina *istriano* gęstego jak atrament, miłego jak aksamit, które podają w cynowych kubkach. Ale najlepszem winem jest tu owo opiewane jeszcze za czasów Augusta przez poetów rzymskich, zwane *refosco*. Powiadają że Horacy częstował niem Lydyę.

Gdyby winnice Istryi i Dalmacyi staranniej były uprawiane, otrzymane z nich wina mogłyby współzawodniczyć z francuzkiemi. W tych prowincyach leżą jeszcze odłogiem ogromne przestrzenie dziewiczych gruntów; zresztą utrzymują że takich jeszcze w Austryi wiele się bardzo znajduje.

Wyszedłszy z *Osteria* poszliśmy do katedry wznoszącej się na wzgórzu u stóp którego rozłożyło się stare miasto; niegdyś w tem miejscu stała świątynia poświęcona bożkowi Kapitolińskiemu. Triest istniał już przed zagarnięciem wybrzeży istryjskich przez Rzymian. Mieszkańcy tych wybrzeży trackiego pochodzenia, byli rozbójnikami morskimi na Adryatyku. Rzymianie zamienili Triest w prostą fortecę mającą strzedz Akwilei założonej przez nich. Ale zjawił się Atylla, zniszczył Akwileję a uszanował Triest. Istrya najpierw zajęta była przez Franków, potem rządzona przez patryarchów, a nareszcie zapragnęła zostać Rzecząpospolitą. Po upływie roku Triest podzielił się na dwa obozy: mordowano się po ulicach, zwalano domy, i chcąc położyć koniec tej szczególniejszej rozrywce, trzeba było wrócić do dawnego porządku rzeczy. W sto lat później, Triest dobrowolnie oddał się Austryi. W owej to epoce Triestanie kupili Castelnuowo, dla zmuszenia wszystkich kupców Istryi i sąsiednich krajów do przejeżdżania przez Triest; Wenecya oznajmiła że nie będzie tolerować dłużej tej zapory dla swego handlu, i wypowiedziała wojnę. Dzięki pośrednictwu Piusa II, wówczas biskupa Triestańskiego, utrzymano pokój ceną Castelnuowo i wolnego przebywania wąwozów. Mimo to Wenecya zazdrosnem spoglądała okiem na rozwój współzawodnika: po wojnie Uskoków w 1617 roku, flota wenecka zawładnęła morzem i zupełnie zaszachowała Triest, którego ludność zmniejszyła się do trzech tysięcy dusz.

Marya-Teresa znalazła port ten w opłakanym stanie; gdzie niegdyś stały domy, roztaczały się obszerne ogrody. Cesarzowa ta podniosła z upadku miasto, obdarzając go zupełną wolnością handlową, wyrzekając się kosztownego utrzymywania floty wojennej i oddając zarząd gminy jednemu gubernatorowi.

Dziś Triest wraz z przedmieściami liczy 120,000 mieszkańców, Włochów, Niemców, Greków, Anglików, Armeńczyków, Amerykanów, a w przystani jego staje rocznie 15,000 okrętów obejmujących milion beczek.

Katedra Triestańska jest jednym z najdawniejszych kościołów w Austryi; pochodzi aż z VI wieku. W niej pochowany jest Fouché, minister policyi za Napoleona, obok dwóch ciotek Ludwika XVI, księżniczek Adelajdy i Wiktoryi.

Zwiedziwszy katedrę udaliśmy się do zamku w którym Francuzi tak dzielnie opierali się bombardowaniu przez Anglików i Austryaków w 1813 roku. Pałac ten zbudowany był przez Wenecyan, jest otoczony czterema bastionami i panuje nad miastem.

Na prawo, Miramar, samotny i smutny jak mauzoleum, rysuje swe gotyckie wieżyce na horyzoncie. Na lewo roztaczają się gościnne wybrzeża Istryi, na których żyje ludność złożona z 375,000 Słowian i 187,000 Włochów.

Wieczorem poszliśmy do teatru, nie tyle dla widzenia przedstawianej dnia tego *Afrykanki*, jak dla przypatrzenia się publiczności. Ciekawość nasza była zupełnie zaspokojona. Damy siedzące w obszernych, zbytkownie urządzonych lożach, wydawały się jak zaczarowane królewny; najświetniejsze przedstawienia w paryzkich teatrach, nie dorównywają spotkanemu tu przepychowi. Alabastrowe ramiona otoczone były przezroczystemi koronkami; we włosach błyszczały brylanty, których blask migotał po sali; bransolety otaczały utoczone rączki, jakby węże z oczami z topazów lub z rubinów, a blask karnacyi samego Tycyana przywiódłby do rozpaczy.

Obok tych kobiet w świetnych toaletach, siedzących w pozach Dianny lub Kleopatry, mężczyźni wydawali się ciężcy i trywialni; wyglądali jak worki talarów przybrane w czarne fraki. Dla nich żona jest niczem więcej jak zadowolnieniem żądzy próżności i pychy, okazem zbytku, tak jakby villa lub wierzchowiec; to żywy szyld kantoru lub domu bankowego, gwarantujący publiczności wypłacalność podpisu.

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

Obecna Wystawa paryzka jest zanadto wielką i to jest jej słabą stroną. Dla wypełnienia oznaczonego miejsca wypadało zgromadzić ogromną ilość przedmiotów, a ponieważ arcydzieła a nawet utwory prawdziwego talentu są rzadkie, posługiwano się więc czem można było bez wielkiego wyboru, jakby chciano ilością zastąpić jakość. Szczególniej na polu sztuk pięknych zachodzi wielkie pytanie, czy wystawy przynoszą więcej korzyści czy szkody?

Bezwątpienia pomagają one artyście do zyskania rozgłosu, ale zbyt częste ich powtarzanie niedozwala na dokładne i staranne wykończenie dzieł sztuki, a chęć łatwej popularności nakłania do obierania przedmiotów zwracających na siebie uwagę przechodniów, choć nie zawsze zgodnych z przepisami wyższego smaku. W roku zeszłym w czasie zwykłej wystawy sztuk pięknych, widzieliśmy obraz przedstawiający Nerona próbującego trucizn na swoich niewolnikach.

Pomysł szkaradny! Zamiast dźwigać poniżający ludzkość a tem samem wywołujący wstręt w każdem sercu szlachetniejszem.. Wykrzywione jednak oblicze nieszczęsnego niewolnika wijącego się z bólu na podłodze, ściągało widzów; artysta więc dopiął celu zwracając uwagę na dzieło przez siebie dokonane, a tem samem czyniąc głośnem jego nazwisko.

Bezwątpienia osoby dla których rysunek poprawny i wrażenie bez względu na jego rodzaj, stanowią główne zalety utworu sztuki, odejdą na pozór zadowolone, ale gdyby zechciały bliżej zbadać uczucia wzbudzone w ich sercach, to może oglądany obraz straciłby wiele na znaczeniu.

Prostem następstwem zbyt częstych wystaw jest konieczność przyjmowania prac miernych lub jeszcze mniej niż miernych; często bardzo nogi zabolą od chodzenia a oczy od patrzenia, zanim dostrzeżemy dzieło wyższego polotu. Wystawy powinny kształcić smak artystyczny w zwiedzających,

a tymczasem bardzo często szczerbią go nadając mu jak niektóre utwory belletrystyczne, najbardziej błędny kierunek. Zdania te wydadzą się może nie jednemu zbyt śmiałemi, ale mamy za sobą powagę wielką bo Ingres'a jednego z najznakomitszych malarzy i nauczycieli francuzkich.

„Wedle mego zdania, pisze on, uważam wystawy nie tylko za nieużyteczne ale za szkodliwe; w dzisiejszym naszym stanie społecznym, zabijają one prawdziwą sztukę a rozwijają jedynie rzemiosło. Każden artysta szuka jedynie środka do łatwego zbycia swego utworu, to też pomysły dziwaczne przeważają jako przyciągające większą liczbę patrzących. Dzisiaj wystawa jest niczem więcej jak wielkim bazarem, ułatwiającym zbyt przedmiotów mniej lub więcej dokładnie wyrobionych."

Radzibyśmy bardzo, aby osoby urządzające wystawy, zechciały zastanowić się nad zdaniem wyrażonem przez wielkiego mistrza, znającego lepiej niż ktokolwiekbądź inszy warunki należytego rozwoju sztuki.

Wady wyrażone powyż można dostrzedz i w dzisiejszej wystawie powszechnej, chociaż może w mniejszym stopniu niż zazwyczaj, ze względu na współuczestnictwo wszystkich narodów ucywilizowanych. Nie brak miernoty, ostatecznie jednak dzieła talentu choć rozmaitego stopnia przeważają a możność porównania prac wykonanych pod rozmaitemi stopniami długości i szerokości geograficznej, daje prawdziwe zadowolenie a przytem jest wielce nauczającem. Przedmiot ten jednak za obszerny, aby go można wyczerpnąć w zwykłej kronice literackiej; potrzeba w tej mierze opracowań wyłącznych, przechodzących nasz zakres: w każdym jednak razie postaramy się dać pogląd przynajmniej ogólny, zwłaszcza że kilka obrazów zasługuje na zwrócenie wyłącznej uwagi.

Wystawa obecna w oddziale malarstwa jest bezporównania niższą od wystawy z roku 1855.

Przyczyna tego bardzo jasna; dwie wystawy późniejsze z r. 1867 i dzisiejsza objęły utwory sztuki zaledwo z lat dziesięciu, a wzmiankowana wystawa z roku 1855 prawie wszystkich wielkich mistrzów od początku bieżącego stulecia. Druga przyczyna jest przykrzejszą do wypowiedzenia: oto od lat trzydziestu tak na polu literatury jakoteż na polu sztuki, przybywa coraz większa liczba pracowników, ale za to uczuwamy coraz większy brak owych wielkich potęg moralnych będących wyrazem swego wieku. Siła twórcza rozproszona na wielką liczbę jednostek, nie może już dojść do obfitszego skupienia w głównych ogniskach.

Mnóstwo jest tak nazwanych artystów drugiego rzędu, a jakże mało takich, którym z prawa należy przyznać przywilej pierwszeństwa.

Obecna więc wystawa jest niezaprzeczenie niższą od wystawy z r. 1855, ależ jaki jej stosunek do wystawy z roku 1867. Zapytanie nieco drażliwe ze względu na szeroko rozwiniętą miłość własną we wszelkiego rodzaju artystach. Pod względem ilości obecna wystawa przeważa poprzednią szczególniej w dziale francuzkim, na który przyjęto aż tysiąc sto obrazów, kiedy w roku 1867 zaledwo czterysta. Inne kraje postępowały w tej mierze z większą przezornością, starając się uskutecznić wybór więcej staranny; Niemcy przysłały zaledwo sto obrazów a i austryacka wystawa zawartą jest w dosyć szczupłych rozmiarach.

Wedle ogólnego zdania francuzka wystawa góruje po nad innemi smakiem, elegancyą i wykończeniem.

W ogóle jednak rodzaj obrazów jest podrzędnego znaczenia, bo żaden z artystów nie podźwignął myśli wyższej, godnej przedstawienia całemu światu.

Dzieł prawdziwie znakomitych tak pod względem wykonania jakoteż pod względem przedmiotu, należy szukać w innych oddziałach, a szczególniej w oddziale austryackim. Wedle zdania wielu miłośników sztuki, dwóch wielkich artystów walczy tam o pierwszeństwo, jednym jest nasz Matejko, drugim Hans Makart, którego praca poraz pierwszy wystawioną była w Paryżu. Matejko nadesłał obraz przedstawiający Zygmunta Augusta i słynny w dziejach sejm lubelski; Makart wymalował wjazd Karola V-go do miasta Anners.

Dwa te obrazy zawieszone w niedalekiej od siebie odległości, uwydatniają różne ideje, jakie przedstawiał ostatni z Jagiellonów i wskrzeszone cesarstwo rzymskie.

Na jednym dwa ludy podają sobie dłoń zgody do bratniego węzła; na drugim zwycięzca wjeżdża do zdobytego miasta: na jednym powaga właściwa obradom mężów stanu, na drugim widowisko dziwaczne, obrażające zasady przyzwoitości, które właściwszem byłoby przy wjeździe kuglarzy aniżeli przy wjeździe potężnego monarchy. Karol V-ty na koniu otoczonym jest gronem kobiet w stroju Ewy, niosących wieńce na cześć bohatera obrazu. Pomysł ten na pozór nieprawdopodobny jest podobno ściśle historyczny, przynajmniej tak upewnia Albert Dürer w liście pisanym do Melanchthona; chciał nawet Dürer należeć do orszaku ale żona jego nadzwyczajnie złośliwa i zazdrosna, nie pozwoliła na to. Obraz w ten sposób pojęty i wykonany jest raczej szykaną dziejów aniżeli obrazem historycznym we właściwem znaczeniu tego wyrazu, chociaż na obronę autora można powiedzieć: że jaka epoka, tacy i jej przedstawiciele. Wartość tej pracy zależy od jej pojęcia: jako ironia epoki uważanej za wielką jest dziełem znakomitem; jako dzieło poważne zostawia wiele do życzenia. Światło w obrazie skierowanem jest głównie na grono wzmiankowanych kobiet i na Karola V-go, co tembardziej uwydatnia czasy i obyczaje, jeżeli podobne obrzędy mogły mieć miejsce w warstwach nawet najwyższych.

Jakże różne wrażenie robi obraz Matejki! Trudność jednak była wielka do pokonania i to z takiego względu, o jakim często nawet nie myślą dzisiejsi malarze europejscy; nie chodzi bowiem ani o perspektywę, ani o układ osób, ani o rysunek, ani o rozkład światła i t. d. i t. d. ale o wytworzenie postaci będącej typem przewodniej myśli obrazu.

Na tem polu Matejko jest mistrzem niezrównanym; jego Rejtan w sejmie grodzieńskim, Zygmunt August w Unii są najlepszą miarą gieniuszu wielkiego artysty.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Wiedeń.

Licytacya na wierzytelności Banku jeneralnego wiedeńskiego. Skandaliczne nadużycia w Radzie municypalnej wiedeńskiej. Stronnictwo patryotyczne w Wiedniu i jego działalność. Bohater Janos, poemat Petöf'ego, przełożony z węgierskiego na niemieckie przez Ignacego Schwitzer. Szkielet w domu, powieść Fryderyka Spielhagen. Przedstawienia sceniczne dla samego króla bawarskiego. Przez ucho, dramat W. Jordana. Następstwa błędu, dramat w 3 aktach. Opiekuńczy duch kobiety, Adolfa Glaser. Historya oftalmologii, p. doktora Hugona Magnus. Szkice historyi austryackiej, p. Adama Wolf. Sahara albo z oazy do oazy, p. de Chavannes. Kongres geograficzny w Berlinie. Ostatni obraz Makarta „Wjazd Karola V do Antwerpii." Robert Mayer.

Zajęcie Bośnii i Hercegowiny, jenerał Filipowicz, zastąpienie go w dowództwie przez księcia Würtembergskiego, Szapary i porażka jego wojsk, układy z Portą, uruchomienie armii — oto o czem tu mówią wszyscy, politycy i nie politycy, nad czem męczą się wszystkie mózgi. Zawrotu głowy dostalibyście, łaskawi czytelnicy, gdybym Wam powtórzył wszystkie wnioski jakie tu z tego wyprowadzają; to też nie chcąc Was na to narazić; zostawiam politykę gazetom i telegrafom, którym przy najlepszej chęci dorównać nie potrafię, bo zawsze mnie uprzedzą, a przejdę do kwestyj mniej wyeksploatowanych.

Nie dawno temu mieliśmy tu w Wiedniu bardzo ciekawą licytacyę; sprzedawano więcej dającemu wierzytelności słynnego Banku jeneralnego, który jak wiadomo zbankrutował. Wartości dochodzące 200,000 florenów, nabywano za 2 floreny — i jeszcze żartowano z nabywców że zły zrobili interes. Znane bardzo nazwiska figurowały na liście dłużników tego finansowego stowarzyszenia. Niejaka baronowa Augusta głośna bardzo w Wiedniu, winna była bankowi 14,000 florenów — zaciągnięcie takiej pożyczki ułatwiły jej blizkie bardzo stosunki z jednym z głównych przedstawicieli banku. Rewers jej na tę sumę nabyty został za 80 krajcarów. Już to podobno jedyna była sposobność nabycia milionów za bardzo małe pieniądze.

Skandale i nadużycia które miały miejsce w radzie municypalnej wiedeńskiej, wykryte i zaskarżone przez doktora Mandl, smutne rzucają światło na moralność administratorów stolicy państwa austryackiego.

Pewnego pięknego poranku, członek rady gminnej, dr. Mandl, pozwolił sobie podać do wiadomości publicznej, zdrożne postępowanie swych kolegów. Dotknięci tem opublikowaniem, panowie ci narobili wielkiego hałasu; podbudzając ogólne oburzenie przeciw „potwarcy." Dzięki ich krzykom i intrygom, opinia publiczna potępiła niemiłosiernie młodego doktora, do tego stopnia iż sądy uwolniły pewnego dziennikarza, który w piśmie swojem nazwał go nicponiem i nikczemnikiem. Niepoczciwi urzędnicy tryumfowali, zapominając że fortuna nie zawsze stale sprzyja łotrom. Zbudzona z letargu przez młodego doktora uwaga publiczna, zaczęła baczniej zwracać się i wglądać w sprawy gminne i niezadługo przekonano się że ten którego za potwarz obrzucono błotem, był tylko uczciwym człowiekiem i bystrym dostrzegaczem. Niebawem tesame sądy które nie uznały jego krzywdy i zniewagi, wydały wyrok na radców municypalnych za fałszywe podawanie listy robotników, i pobranie pieniędzy za prace nigdy nie dokonane. Dowiedzionem zostało że w kwitaryuszu wypłat mieściły się kwity robotników, jakoby na pobraną zapłatę za odgarnianie śniegu z ulic — wystawione w kilka dni po ich zejściu ze świata. Wykazano także dowodnie że członkowie bióra dobroczynności, za pieniądze przeznaczone na odzież dla biednych, sprawiali stroje dla swoich rodzin i wyprawiali sobie bankiety na których spijali szampana, z funduszów jałmużniczych. Takich nadużyć i kradzieży okazało się nie mało, i wskutek uznających je wyroków sądowych, doktór Mandl stał się nadzwyczaj popularnym w Wiedniu; ci co pierwej największemi zarzucali go kamieniami, teraz pod niebiosa wynoszą jego prawość i gorliwość o dobro publiczne.

Zachęcony powodzeniem, doktór Mandl dowiódł jeszcze: że mniemani umarli, złożeni czasowo w domu przedpogrzebowym (jak to jest przyjęte w całych Niemczech) daremnie dzwonili pociągając za sznurek od dzwonka który im kładą w rękę, strażnicy wcale tego nie słyszeli, gdyż pijani jak zwykle, nader twardo spali. Sąd wyznaczył śledztwo

którego dochodzenie wykazało, że nie umarli ani udający umarłych, ale pęd wichru poruszał sznurami od dzwonków — ale niemniej dowiedzionem było że stróże dzwonienia nie słyszeli. Wtedy burmistrz Wiednia zarządził nowe śledztwo, w następstwie którego stróże zostali ukarani. Nowy ten tryumf zjednał doktorowi Mandl ogólne uznanie i zamieszczony został na liście kandydatów do przyszłych wyborów.

Od pewnego już czasu utworzyło się w Austryi stronnictwo patryotyczne, starające się wszelkiemi sposobami wzbudzić ducha narodowego, którego Wiedeń dotąd nietylko nie znał ale wyśmiewał w różnych popularnych śpiewkach. Sfery rządowe popierają te dążenia, i uznano że najłatwiej przyjdzie dojść do celu, za pomocą przedstawień teatralnych, tego niezrównanego środka oddziaływania na massy. Dotąd próby się nie powiodły. Nawet jedna z najlepszych sztuk w tym rodzaju „*Bratерskie współzawodnictwo w rodzie Habsburg'ów*“ przez Gwillparzer'a, nie miała powodzenia. Tenże sam los spotkał nową trylogię Wartenogg'a *Andreas Paumkircher*. Autor, dawny nauczyciel konnej jazdy, mógł się przekonać że nie ma nic wspólnego między Pegazem a zwyczajnym wierzchowcem, i że dobre chęci nie wystarczają do zapewnienia powodzenia sztuce lichej, choćby napisanej w duchu patryotycznym. W sztuce tej autor wynosi pod niebiosa wszystkie znakomite rodziny austryackie; w celu podbudzenia poczucia narodowego, przedstawione są jako uosobienie sławy, honoru i miłości ojczyzny. Koła arystokratyczne wiedeńskie, protegowały silnie dramat pochlebiający ich pysze i miłości własnej; czytano go przed przedstawieniem po salonach i obiecywano świetne powodzenie. Proroctwa te zawiodły; publiczność zimno przyjęła sztukę wysławianą w pałacach. Wyszukiwanie autorów piszących sztuki patryotyczne nie stworzy literatury narodowej, zalecającej się rzeczywistą wartością; trzeba najpierw zaszczepić w sercach i umysłach ludności uczucia patryotyczne, bo one tylko zdołają wzbudzić natchnienie zdolne stworzyć dzieła rzetelnej wartości, porywające i zapalające widzów czy słuchaczy.

Co prawda trudno po dziś dzień doszukać się w historyi Austryi, czegoś coby mogło podniecać zapał ludności; dotąd najświetniejsze nawet rezultaty dla Austro-Węgier, zawdzięczają one najpierw swemu stanowisku a następnie intrygom dyplomatycznym.

Ludy podległe berłu Austryi, mogą się znowu pochlubić poetami, pisarzami i piśmiennictwem narodowem, odznaczającem się prawdziwą wartością i wielkim zapałem patryotycznym. Takim ludowym poetą był Węgier Petöfy. Nie ma Węgra któryby nie znał jego utworów. Poezye jego kilkakrotnie już były przekładane na język niemiecki, ale tak niedołężnie, iż nie dziw że Niemcy nie mogli pojąć jakim sposobem podobny wierszokleta, mógł pozyskać sławę poety narodowego i zostać ulubieńcem swych ziomków. Dopiero przekład p. Ignacego Schwitzer'a który sam jest zdolnym poetą i pisuje tak w węgierskim jak w niemieckim języku, dał im poznać prawdziwą piękność utworów węgierskiego poety. *Bohater Janos* to poemat równie odznaczający się treścią jak i oryginalnością formy; przedstawiona w nim jest postać bardzo popularna, figurująca w podaniach i bajkach węgierskich. Żywa wyobraźnia i humor właściwy madziarom, nadają temu utworowi całkiem odrębną cechę. Dotąd w Niemczech znano tylko Petöfy'ego jako śpiewaka wolności, Tyrteusza rewolucyi węgierskiej; teraz, dzięki wybornemu przekładowi Schwitzer'a, do którego zalecającą przedmowę napisał sławny autor węgierski, Maurycy Jokaï, poznano go tam jako wesołego i dowcipnego pisarza, który umiał uwydatnić te zalety swoje nawet w prostej i naiwnej opowieści ludowej.

Pojawił się nowy romans słynnego autora Fryderyka Spielhagen'a, pod tytułem „*Szkielet w domu.*“ Przerażający ten tytuł obiecuje czytelnikowi okropne sceny, coś w rodzaju utworów znanej Anny Radcliffe. Doprawdy cały ten utwór zakrawa na istną mistyfikacyę. Przez cały ciąg powieści, czytelnik przechodzi przez całą gamę najprzeróżniejszych wrażeń, wzruszeń i wstrząśnień, robi najstraszniejsze przypuszczenia, i dopiero na ostatnich stronicach grubego tomu, przekonywa się że autor wyraźnie zażartował sobie z niego, i nie wie czy się ma na niego gniewać czy śmiać ze swoich emocyi.

Powieść rozpoczyna się obrazem namalowanym nader posępnym kolorytem. Jesteśmy w Woldom, małem miasteczku Pomeranii, w pobliżu morskich wybrzeży, których groźny lub żałośny szum dochodzi do naszych uszu. Autor wprowadza nas do wielkiego i ciężkiego budynku, wzniesionego w staro-dawnym stylu, w którym od dawna zamieszkiwał jeden z miejscowych kupców. Nagie, grube mury tej budowli, nadają jej postać tajemniczego więzienia. Wewnątrz, jedyne kolosalnych rozmiarów schody, prowadzą do galeryi z boazeryami ze starego dębu, w której znajdują się drzwi do różnych pokoi. W jednym z nich stoi tajemnicza szafa, i w niej klucz zardzewiały. Lecz jestże to rdza?... a może krew?... Ktoby zakręciwszy kluczem, otworzył szafę, ujrzałby przed sobą *Szkielet domowy*. Spielhagen używa tu wyrażenia „szkielet“ w tem znaczeniu jak Francuzi mówiąc językiem warsztatów i zakulisowym używają wyrażenia „cadavre“ (trup). „Je sais où est le cadavre“ znaczy „znam twoją tajemnicę, coś, na ukryciu czego najwięcej komuś zależy.“ Otóż w tej szafie kryje się „szkielet“ tajemnica, którą właściciel domu, pan Lebrecht, król Woldomu, jak go nazywają z powodu jego niezmiernych bogactw — jak najstaranniej pragnie ukryć przed młodą swoją żoną, Anną.

Pan Lebrecht wraca właśnie do domu z odbytej po ślubie podróży. Wiele przeszedł trudności zanim otrzymał nareszcie rękę swej żony. Matka jej pochodząca ze szlacheckiej rodziny, marzyła dla córki o jakiemś arystokratycznem zamąż-pójściu, i pomimo milionów pana Lebrechta i wysokiego stanowiska jakie zajmował w Woldom, z wielkim bólem serca zgodziła się przyjąć go za zięcia. Dzięki swej niezachwianej wytrwałości, zdołał nareszcie pokonać opór i poślubił ukochaną.

Powrócił tedy z żoną do swego starego domu, marząc tylko o tem jak będzie szczęśliwy — niestety! zapomniał o szkielecie! Wraca mu pamięć — i stanął na środku pokoju jak wryty i rozmawia sam z sobą jak Hamlet ścigany przez widmo ojca... Niepodobna dłużej ukryć tajemnicy — jutro młoda żona dowie się o wszystkiem. Dotąd, zatopiony w swojem szczęściu, nie śmiał jej tego wyznać. Niepokój czytelnika wzrasta w miarę przerażającego niepokoju nieszczęśliwego Lebrecht'a, który miesza się i blednie za najprostszem słowem żony. „Każę podać kawę, mówi Anna, taki mam na nią apetyt, iż przez imaginacyę zdaje mi się że w całym domu czuję odór palonej kawy.“ Usłyszawszy to, Lebrecht zbladł jak chusta i o mało nie zemdlał. To jego pomieszanie nie uszło oka pięknej Anny; niepokoi się, pyta, bada, i nareszcie po rozmowie z gospodynią dowiaduje się: że mąż jej w przeddzień wyjazdu na swój ślub, miał długą sprzeczkę, z przyjacielem i zarazem podwładnym swoim, p. Fliederbusch, który skutkiem tego wyskoczył oknem i od tej chwili nikt go już nigdzie nie widział. Stara gospodyni dodaje, że dowiedziałby się prawdy ktoby się odważył otworzyć szafę z kluczem krwią zbryzganym. Po ciężkich staczanych z sobą walkach, po nocach bezsennych w których ścigały ją straszne widziadła, w których widziała męża traconego ręką kata na publicznym placu, piękna Anna powzięła nareszcie stanowcze postanowienie otworzenia owej strasznej szafy. Czas był okropny: wicher świszczy w całym domu, zdaje się że w owej tajemniczej szafie słychać odgłos uderzających o siebie kości. „Boże, dodaj mi siły!“ woła nieszczęśliwa Anna... i klucz zaskrzypiał w zamku... W szafie ukazał się — stary szyld i nic więcej. Na lewo była data: rok 1654, na prawo napis: „Odnowiony w 1854 r.“ Szyld ten zawiadamia konsumentów, że *W pałacu kupca*, w Woldom, dostać można tanio wszelkich artykułów żywności. Ojciec Lebrechta, chcąc uszanować wspomnienie jak z małego dorabiała się rodzina, kazał odnowić stary szyld, i rozporządził testamentem, że mały handelek tego rodzaju, ma być prowadzony w jednej części jego rozległego domu. Bojąc się zrazić arystokratyczne wymagania matki żony, które może i córka przejęła od niej, Lebrecht dotąd ukrywał to przed żoną; łatwo tedy pojąć jak się zmieszał, gdy żona powiedziała że czuje w całym domu odór palonej kawy. Fliederbusch wcale nie przepadł bez wieści, i pojawia się gdy już nieobecność jego nie jest autorowi potrzebna do mistyfikowania czytelnika.

d. c. n.

Przegląd literacki.

Biblioteka Przedruków 2. Erazma Glicznera Książki o wychowaniu dzieci. Kraków nakładem księgarni D. E. Friedleina. Kraków 1876.

Po przerwaniu niedokończonego wydawnictwa „Biblioteki Polskiej“ Turowskiego, pozostało wiele jeszcze utworów literatury XVI wieku nieprzystępnych dzisiejszemu pokoleniu, które albo od lat 300 nie wyszły dotychczas w ponownem wydaniu, albo też choć i wychodziły, lecz stanowią obecnie rzadkość bibliograficzną. Potrzeba zaś odświeżenia w pamięci teraźniejszych czytelników dzieł owej epoki coraz to jest większą, wiadomo bowiem że piękności i bogactwa mowy rodzinnej możemy zawsze czerpać pełną dłonią w dziełach Zygmuntowskiego okresu. Zgasły niedawno Fredro odczytywał w starości po kilkanaście razy utwory ówczesnej literatury, ażeby, jak mawiał, „nurzać się w jej pięknościach.“ Z wielką więc szkodą dla ogółu, rzadkie egzemplarze dzieł z XVI wieku, znane tylko bibliografom, ukrywały się na półkach bibliotek lub u antykwaryuszów, gdzie niekażdy umiał lub mógł ich odszukać. Dla tego to w 1871 r. niezmordowany i wszechstronny nasz Kraszewski rzucił myśl wydawania przedruków dawnej literatury, a myśl tę uskutecznił księgarz krakowski Friedlein dopiero w roku zeszłym. Biblioteka Przedruków stanowi niejako dalszy ciąg Biblioteki Turowskiego, wychodzi nawet w tym samym formacie, ażeby posiadacze dzieł przez Turowskiego wydanych mogli sobie łatwo dokompletować swój zbiór. Dotąd wyszły dwa tylko zeszyty: pierwszy zawiera Bartłomieja Zimorowicza Hymny na cześć Bogarodzicy, drugi — dzieło Glicznera, o którem mówić mamy.

Książka Glicznera wydrukowaną była 1558 roku w Krakowie u Mateusza Siebeneychera. Drugiego wydania dotychczas nie było, a z pierwszego przechował się obecnie *jeden* tylko egzemplarz, znajdujący się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Egzemplarz ten, znany wprawdzie bibliografom, nie był dokładnie znanym nawet historykom literatury, którzy sądząc o dziele Glicznera ze słyszenia, błędne wydawali o niem sądy. Teraz więc dopiero po 318 latach, mamy drugą edycyą tej książki. Była to pierwsza oryginalna praca polska w sferze pedagogii; bo chociaż i w owych czasach wychodziły już dzieła po polsku o wychowaniu dzieci, lecz były to tylko tłomaczenia dzieł obcych, jak np. przekład dzieła Lorichinsa o wychowaniu dzieci wydał Koszutski w 1558 roku, a Kwiatkowski wydrukował w 1564 roku tłomaczenie podobnej pracy Ubertina. O Erazmie Glicznerze wiemy, że był dysydentem i pastorem protestanckim w różnych miastach. Brał czynny udział w sprawach reformy, był na zjeździe Sandomierskim, a umarł około 1597 roku. Znał dobrze literaturę starożytną i tłómaczył na język polski mowy Isokratesa.

Niniejsze dzieło swe napisał Gliczner tylko dla rodziców, nie zaś dla nauczycieli. Dedykował je Jerzemu i Szymonowi książętom Słuckim: dla tego, zwyczajem ówczesnym, na czele książki umieścił wierszyki (niezmiernie słabe) „na herb książąt Słuckich“ i skreślił do nich dość bladą przedmowę.

Skazówki swoje dla Rodziców zaczyna Gliczner od kolebki dziecka, a nawet jeszcze wcześniej, gdyż w pierwszym rozdziale mówi o godności prawego małżeństwa. Radzi tu tylko taką pannę pojmować za żonę „o którejby żadnych rymów nie tworzono, zaczynania (pieśni) nie opiewano, albo klatek (plotek) nie pleciono.“ W drugim rozdziale rozszerza się autor o tem, jakiem to błogosławieństwem Boskiem są dla rodziców dzieci. W obydwóch, obyczajem ówczesnych autorów, sypie, jak z rogu obfitości, przykłady i zdania z Pisma Świętego i z pisarzy starożytnych wyjęte. Pedagogicznych godnych uwagi myśli tu niewiele.

W następnym rozdziale autor zajmuje się kwestyą karmienia niemowląt i żąda, aby zgodnie z naturą. matki same tego obowiązku dopełniały. Dowodzi przytem, biorąc przykłady ze świata zwierzęcego — do którego w ciągu całego dzieła nieraz chętnie się zwraca, że z mlekiem mamki dziecię mogłoby nabrać złych skłonności. „Co rzecz jest doświadczona—powiada—nie tylko z ludzi, ale i z bydła, gdzie gdy jagnię do kozy przypuszczą, albo ono koźlem mlekiem odchowywa, wełna na jagnięciu skoźleje albo cuchnąć i twardnieć będzie; zaś gdy koźlę do owce przysadzą, uroście na niem miękka wełna albo sierchl (sierść). Tak też było i onym ludziom, które albo wilcy albo suki karmiły i żywiły: jako Cyrus, którego suka żywiła, nieprawym człowiekiem dawał się znać. Romulus a Remus, które wilczyca chowała, też jedno po polach a wojnach, jakoby wilcy po łupiech“ (str. 29). Argumenta to niezbyt silne i wątpliwej prawdziwości, a pierwszy tylko do zewnętrznego ściągający się podobieństwa. Szkoda jeszcze, że autor, według tego co mówi, nie zastanowił się nad koniecznością wyszukania mamki w tym razie, jeśli matka sama jest złą, a możnaby lepszą i łagodniejszą mamkę wyszukać. Zastanawia się tu także autor, idąc za św. Augustynem, nad powodami dla których główne matki swych dzieci karmić same nie chcą, ale tego przytaczać tu nie możemy. Dalej mówi autor „jako się rodzicy mają strzec, aby przed dziecięciem nic niecudnego (nieprzyzwoitego) mówili albo też nie czynili.“ Powiada przytem: „dziś jeszcze dziecię w kolebce leżeć będzie, ociec, gdy mu się gęście trafią, onego na picie zaprawi, bo mu pomagać musi. A gdy już we trzech leciech będzie, weźmie go sobie za towarzysza, tak iż musi z nim, jako jeden urosły chłop, pić“ (str. 34). Tu już chyba przesadza nasz autor, skłonny widocznie ku pesymizmowi, jak wszyscy prawie moraliści i satyrycy.

Dalej mówi autor obszernie o szkodliwości zbytecznych pieszczot i dogadzania dzieciom. Znajdujemy tu wszystkie prawie te zdrowe myśli i poglądy, które w tym przedmiocie rozwijają spółcześni nasi pedagogowie. Podobnież wybornie jest skreślony następujący rozdział „jako mają rodzicy syny swe za młodu *nosić*“ to jest ubierać. Widzimy tu że strojenie dzieci niby lalek, nietylko z pominięciem wygody i potrzeby, ale i nad stan i możność rodziców, było wadą Polaków XVI wieku, jak jest naszą wadą i dzisiaj. „Jako skoro dziecię na świat wynidzie, wnet mu krzyżyki, wnet złoto na szyję, wnet szubeczki adamaszkowe i koszulki, jakoby jakiemu Jezuskowi, pisane (farbowane) a zepstrzone; uczynią go zmłodu dzięciołem, a potem albo wronie albo krukowi będzie smaczny, gdy kruk, jako niektórzy ptasznikowie powiadają, bardzo na dzięcioły waży (czyha).“ Z dziecka czynić dzięcioła — byłaby to nawet niezła gra słów. Nie mogło też być inaczej, skoro tę samą pogoń za zbytkiem i pstrocizną odzieży i zmienność mody dostrzega autor i u samych rodziców: skarży się autor że nie można już poznać po odzieży ani króla, ani księcia, ani biskupa — wszyscy (zapewne szlachta) wyglądają jak królowie, książęta i biskupi; trudno też poznać, kto Niemiec, Włoch, Węgrzyn, a kto Polak.

Dalej mówi autor o karaniu dzieci. Długo i obszernie, posiłkując się, jak zwykle, Pismem Świętem i autorami starożytnymi, dowodzi że bez kary cielesnej obejść się niepodobna: radzi więc „nabierać różczką,“ ale umiarkowanie, bez gniewu, a przedewszystkiem nie należy łączyć kary z szyderstwem, naigrawaniem się i obelgami, gdyż to niweczy wstyd w dziecku, doprowadza je do złości i nienawiści. I w tej kwestyi nowsza pedagogia powtarza i rozwija to wszystko, co Gliczner powiedział.

Potem rozważa autor, czy lepiej syna oddać do rzemiosła czy też zaprawiać go do nauk. Już z tego widać, że autor przeznaczył swą książkę nietylko dla szlachty, bo w XVI wieku żaden szlachcic syna do rzemiosła nie oddawał aniby sobie o tem dał mówić. Wszelako Gliczner występuje jako przeciwnik rzemiosł i to nie na zasadzie przesądów szlacheckich, lecz z osobliwszego powodu—ze względów religijnych. Mniema on bowiem że rzemiosła nie prowadzą do cnoty i zbawienia wiecznego, lecz że jedynie do tego prowadzi nauka. Zdanie błędne i jednostronne, bo i rzemieślnicy mogą być cnotliwymi a i Chrystus nie mówi nigdzie, że tylko uczeni będą zbawieni — owszem raczej mawiał nieraz przeciwnie. Błędnie też mniema autor, opierając się na jednostronnych zdaniach pisarzy starożytnych, którzy, jak wiadomo, byli nieprzyjaciółmi wszelkiej pracy ręcznej, że rozwój rzemiosł prowadzi do zbytków i zepsucia: rzemiosła wypływają z rozwoju potrzeb i dobrobytu, a choć później korzystają i ze zbytków i zepsucia, lecz same tego nie sprowadzają: wszak np. na zasadzie tego, że są książki złe i szkodliwe, nie powiemy że wszystkie książki są zgubne i są przyczyną złego.

Następnie gani autor ówczesny obyczaj uboższej szlachty — oddawanie dzieci na dwór jakiego magnata: według Glicznera, należałoby wprzódy pomyśleć o nauce i uobyczajeniu dzieci, gdyż bez tego na dworach pańskich psują się i nabywają wszelakiej swawoli. Stwierdza to autor pocieszną historyą o Rurale, którego chłopięta swawolne krzywdziły i oszukiwały. *(d. n.)*

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, (30) Августа 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.